

## MONGOLIA- od Khovsogol do Bajkału



### Kajakiem od Khovsogol do Bajkału

Wyprawa: samotne przepłynięcie rzeki Egingol, Selengi -od jeziora mongolskiego Khovsogol do Bajkału.

Termin podróży: rozpoczęcie 7 Sierpień 2007 w trakcie pożegnania żaglowców i jachtów The Tall Ships' Race 2007

Powrót z wyprawy: 18 wrzesień 2007

Środek transportu: gumowy kajak turystyczny

Dystans do pokonania: około 1200 km

Bagaż: kajak, wyposażenie i prowiant – 57 kg

### Cele podróży:

- eksploracja jednego z najdzikszych obszarów dziewiczej Mongolii
- przepłynięcie w całości trasy łączącej dwa magiczne jeziora (prawdopodobnie jako pierwszy Polak)
- promowanie miasta Szczecina, łącząc wyprawę z wielką międzynarodową imprezą wodniacką

### *Marzenia...*

Zawsze powtarzam mojej córce buntującej się, kiedy planuję coś nowego, że życie bez podróży, bez przygód i adrenaliny z nimi związanej, jest jak sen bez pięknych marzeń. Niby przyjemnie, ale czegoś brakuje. Każda wycieczka, każde zdarzenie, zapachy, poznani ludzie zostawiają w nas jakiś znak. Życie wydaje się nie tylko bardziej interesujące, ale mam wrażenie jakby było dłuższe. Niestety, czasy wielkich podróżników i odkrywców z wcześniejszych wieków, właściwie już uleciały. Mamy satelity zdolne podpatrzyć nas w sytuacjach, w jakich niespecjalnie byśmy sobie tego życzyli. Z doskonałymi mapami określającymi położenie niemalże każdego kamienia i perfekcyjnymi GPS-mi trudno jest „romantycznie” zabłądzić, a pustych plam na terenie naszego globu zostało tak niewiele, że mam wątpliwości czy właściwie jeszcze istnieją. Cóż – romantyka odkrywania niezbadanych obszarów siedemnastego czy nawet dziewiętnastego wieku właściwie przestała istnieć. Smuci mnie to, ale takie są fakty. Odnoszę wrażenie, że jesteśmy jednym z ostatnich pokoleń, mających jeszcze szanse osobiście zobaczyć jesienne rykowisko jeleni, spotkać polującą wilczycę czy odczuć dreszcz strachu, stając oko w oko z królem tajginiędzwiedziem... Czasami myślę, że urodziłem się za późno, że sto-sto pięćdziesiąt lat temu lepiej bym się odnalazł w otaczającym świecie. Wydaje się, że był on bardziej kręcący i tajemniczy. Istne marzenie dla kogoś takiego jak ja, „gościa z duracellem w tyłku” Ciągle mam obsesję, że nie zdążę. Że nie zdążę zobaczyć na własne oczy niesamowitych amazońskich motyli, stad wielorybów czy kołujących majestatycznie wśród górskich szczytów kondorów. Trzeba przyznać, że te nieciekawe uczucia ciągle są obecne w mojej duszy i nie dają spokoju, gnając w świat, kiedy tylko jest to możliwe.

**Kocham książki podróżnicze. Szczególnie, jeśli ktoś ma tę „iskrę bożą” i potrafi odpowiednio przekazać swoje wrażenia. Bywa, że można w nich znaleźć nutką wariactwa i radochy z życia, którą tak cenię u ludzi. Poznałem już kilku fajnych „modeli”, którzy mimo zróżnicowanego wieku mają jedną wspólną cechę- cieszą się życiem. Nie**

patrząc na brak kasy, nie przejmując się coraz to nowymi problemami, uparcie dążą do celu i realizują swoje pasje. W wielu przypadkach ich opowieści są dla mnie inspiracją do dalszych planów i kierunków, w jakie warto się jeszcze skierować. Tak było też z Mongolią...

Znajomy był tam trzykrotnie i za każdym razem wracał zachwycony. Kilka miesięcy przed wyjazdem wpadła też w moje ręce świetna książka Bolesława Uryna „Mongolia, wyprawy przez tajgę i step” (gorąco polecam), która jeszcze bardziej przybliżyła mi tę ziemię. Osobiste rozmowy z jej autorem, który przez ostatnie jedenaście lat przemierzał tamtejsze szlaki jedynie utwierdziły mnie, że dobrze obrałem następny azymut. Szczególnie jedno zdanie jest znamienne i wydaje mi się w pełni charakteryzuje tamtejsze klimaty -”chłopie, zobaczysz tam kraj i ludzi z czternastego wieku” Muszę przyznać, że w pełni oddaje ono atmosferę mojej podróży.  
(Autora pozdrawiam serdecznie)

### *Wycieczka...*

Tęsknota, dziwnie nieokreślona tęsknota i smutek ogarnia człowieka, gdy jego marzenie ciągle ucieka, chociaż wydawałoby się, że jest w zasięgu ręki. Ma się wrażenie, że czas ucieka coraz bardziej, a tyle jeszcze jest do zrobienia i zobaczenia. Już wcześniej pisałem, że byłem zmuszony z przyczyn ode mnie niezależnych przekładać Mongolię na późniejszy czas. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać czy ten kierunek nie jest dla mnie jakiś pechowy? Czy moja karma blokuje wyjazd w tamte strony z jakiegoś konkretnej przyczyny? Nie jestem przesądny, ale takie myśli chodziły mi po głowie. Wyjazd był planowany w pojedynkę, a rejon mało spenetrowany co zawsze wiąże się z jakimś ryzykiem. Nigdy w moich przygotowaniach nie szło tak pod górkę... Kierunek długo też nie był sprecyzowany. Mongolia jest taka ogromna i ma tyle ciekawych teoretycznie regionów, że obranie któregoś z nich na pierwszą wizytę jest naprawdę trudne. Ostatecznie skusiło mnie jezioro położone blisko granicy z Rosją pod nazwą Khovsogol ( po naszymu Chubsuguł).

Drugie co do wielkości i najgłębsze jezioro Mongolii jest stosunkowo znane i bardzo tajemnicze. Ma charakter „alpejski”- jest bardzo głębokie i zimne. (prawie 140 kilometrów długości, 36 km szerokości i 238 metrów głębokości). Mongołowie i Darchat-Sojoci uważają je za święte i nieobliczalne. Określenia te poniekąd są bardzo usprawiedliwione. Chubsuguł leży w kotlinie u podnóża największego szczytu tego kraju Mönch Saridag Uuł (Góra Wiecznych Strumieni 3491 m n.p.m.), gdzie nie zanikły jeszcze całkowicie siły podziemne. Latem niespodziewanie, bez śladów wiatru lub burzy wznoszą się, zaczynają piętrzyć i uderzać o brzeg olbrzymie fale, grożąc nie tylko przycumowanym łódkom rybackim, ale i parowcom kursującym pomiędzy północnym i południowym brzegiem jeziora. W zimie bez żadnej przyczyny jezioro nagle kruszy powierzchnię lodową, otaczając się gęstą mgłą i obłokami pary. Wśród autochtonów krążą także legendy o węzach i potworach morskich, które ktoś od czasu do czasu widuje na jego powierzchni. Suma sumarum bardzo ciekawie to wszystko wyglądało. Biorąc pod uwagę, że nazywane jest czasami „Młodszym bratem Bajkału”, którym jestem oczarowany to właściwie miejsce rozpoczęcia wyprawy miałem wewnętrznie ustalone.

Z Chubsuguł uchodzi jedna jedyna rzeka. Nosi nazwę Egin-goł i posiada charakter górski (2stopień trudności). Ma około 400 km długości, a szybkość nurtu to około trzy, cztery metry na sekundę. Okolice góryste i totalnie bezludne (średnie zaludnienie 0,4 na jeden kilometr kwadratowy). Nawet pojedyncze jurty są bardzo rzadko spotykane. Pogoda chimeryczna, duże skoki temperatury i bardzo częste burze z licznymi wyładowaniami.

Zbierając te wszystkie informacje coraz bardziej dochodziłem do wniosku iż teren, który wybrałem zdecydowanie odpowiada moim oczekiwaniom. Zapowiadało się całkiem ciekawie..., a kiedy okazało, że „moja” rzeka wpada do Selengi, a ta z kolei kończy bieg w Bajkale niejako łącząc Chubsuguł z Bajkałem byłem już pewien, że to jest to. Co prawda dystans do pokonania oscylował w okolicach 1200 km, ale rezerwowałem sobie czterdzieści pięć dni na całość zabawy, więc miałem nadzieję, iż to wystarczy.

Cały plan miałem już skryształizowany w 2005 roku, kiedy po pewnych osobistych nieszczęściach musiałem zrezygnować z wyjazdu i oddać zarezerwowane bilety lotnicze. Nie przypuszczałem jednakże, że potrwa to tak długo i dopiero po dwóch latach uda mi się go zrealizować. I to po wielu, naprawdę wielu problemach...

### *Szmał...*

Można podróżować na wiele sposobów. Czasami wystarczy jedynie chęć i drobna kwota przy duszy na początek. Ciągle spotykam młodych ludzi na szlaku, którzy żyją na zupkach w proszku i z gościny tubylców. „Szwendają” się

po całej Azji i wracają po roku, dwóch, obładowani bagażem przygód i doświadczeń. Sam jeszcze nie tak dawno skuteczniałem takie włóczęgostwo. Jedyne warunki, to duża ilość wolnego czasu i brak zobowiązań. W mojej sytuacji podróże powoli zrobiły się kosztowne. Nie mogę skorzystać z autostopu lub innych tanich, ale czasochłonnych środków transportu. Muszę przemieszczać się samolotem i dotrzeć w wybrane miejsce jak najszybciej, często przepłacając za indywidualne wynajęcie samochodu i pomoc. To wszystko kosztuje. Sprzęt, który używam – kajaki, pontony, przeważnie są dobrej jakości. W sytuacji, kiedy człowiek znajduje się daleko od cywilizacji i polega jedynie na sobie, nie może pozwolić sobie na „jednorazówki” Jakość niestety często kosztuje pokaźne pieniądze i trzeba się z tym liczyć.

Nigdy nie walczyłem o sponsorów, ponieważ kocham to robić dla własnej zabawy i satysfakcji, a sponsorzy niestety zobowiązują. Do pewnego czasu wystarczyło środków. Dopiero, kiedy planowałem przepłynięcie Bajkału i potrzebowałem specjalistyczny rozkładany kajak, zwróciłem się do odpowiednich firm z branży. W tamtym czasie pomogła mi firma „Hanord” z Gdańska i prototyp kajaka, jaki od nich otrzymałem sprawdził się rewelacyjnie.

Wyprawa do Mongolii była tak terminowo napięta, że postanowiłem się zwrócić do pewnych przedsiębiorstw o pomoc i dofinansowanie stosunkowo drogiego pomysłu.

Imprezą zainteresowały się lokalne media, dlatego też mogłem odwdziaczyć się sponsorom za pomoc, promując w miarę możliwości ich firmy. Muszę przyznać, że bez nich ciężko byłoby zorganizować podróż i doprowadzić do szczęśliwego finału. Szczególnie dziękuję Panu Andrzejowi z firmy Hurtostal 2, który wsparł mnie dodatkowo w najtrudniejszym momencie ekspedycji. Wbrew pozorom nie w trakcie pokonywania katarakty rzecznej, ale po deportacji, jaką miałem „przyjemność” przeżyć w Rosji, a która oprócz uszczerbku finansowego zabrała mi dziesięć dni wyprawy. Jeszcze raz wielkie dzięki...

Planując trasę z początku chciałem 140 km jeziora Chubsuguł przepłynąć wodą. Po namyśle zdecydowałem, że tę część drogi pokonam konno. Mongolia słynie z koni. Te przepiękne zwierzęta do teraz są tam głównym towarzyszem podróży, środkiem transportu, bogactwem. Prawdopodobnie w kraju tym jest więcej koni niż ludzi, dlatego też pojechać do Mongolii i nie podróżować konno to byłaby wręcz profanacja. Szczególnie, że od wielu lat zajmuje się hipiką, a od kogo można nauczyć się więcej niż od ludzi, którzy „urodzili się w siodle” W związku z tym, w pierwszej fazie wyprawy zdecydowałem się przebyć jezioro konno, wzdłuż zachodniego brzegu. Postanowiłem wynająć nie tylko konie, ale i miejscowego „fachmana”, który będzie uczył mnie tamtejszego obchodzenia się z tymi zwierzętami. (sposobów jazdy, wiązania itp.)

Poza tym odszedł problem sprzętowy, ponieważ długo miałem dylemat, jaki kajak wybrać na tę wyprawę. Chubsuguł jest jak morze i właściwie bardziej sprawdziłaby się łódka morska. Z drugiej strony rzeki, którymi planowałem płynąć, mają charakter górski gdzie wygodniej i bezpieczniej jest na „góralu”. Ciężko pogodzić te dwie kategorie, dlatego też kiedy spływ jeziorem odpadł, zniknął także ten problem.

Koniec końców wybrałem kajak typu „Safari”. Jest to pneumatyczny, gumowy sprzęt turystyczny, ale dobrej jakości. Wybrałem klasę turystyczną nie tyle z powodu ceny ile z ciekawości czy zda egzamin w tych właściwie niewiadomych warunkach. Było to niejako dodatkowe wyzwanie..., no może wyzwanko. Właściwie nie powinienem promować sprzętu, gdyż zarówno producent jak i firma zajmująca się sprzedażą w sposób mało sympatyczny zlekceważyli mnie i nie pomogli w pozyskaniu czy wypożyczeniu kajaka. Jakiś mądrała z południa, stwierdził „że projekt za mało ambitny dla ich wielkiej firmy”. Cóż – nie będę drobiazgowy. Kupiłem, dałem zarobić, łódka się spisała, więc co mi tam...

Szczegółów batalii o pozyskanie finansów nie będę opisywał, bo to oddzielna historia. Skończyła się tak, że prawie tydzień przed zaplanowanym wyjazdem byłem gotów. Loga firm pomagające w przedsięwzięciu uwypukliłem na stronie głównej, **ale tu jeszcze raz pragnę złożyć szczerze, serdeczne podziękowania.**

### *Falstart...*

W sierpniu w dniach 4 -7 odbyła się wielka międzynarodowa impreza żeglarska The Tall Ships Races. Złot największych żaglowców z całego świata. Zabawa, jakich niestety mało ma miejsce w Szczecinie. Do tego niesamowicie udana i obfitująca w ogromną ilość imprez dodatkowych. Nie przepadam za masówkami, ale byłem pod wielkim wrażeniem oprawy i atmosfery, jaka opanowała w tych dniach miasto. Oczywiście nasza ogólnopolska telewizja prawie nie zaszczyciła jej swoimi relacjami... Nie będę tego komentować. Faktem jest, że złot był uroczy, a dodatkowo w trakcie jego trwania zakończył swoją niesamowitą ekspedycję żeglarską jacht „Stary”, którego załoga pokonała północno zachodnie przejście Atlantyku –North West. Dokonała

tego w stulecie pierwszego przejścia przez Ronalda Amundsena z najmłodszą załogą i w najkrótszym czasie w historii. Wielki wyczyn żeglarski. Kto trochę siedzi w temacie będzie wiedział o czym mówię. Rozpoczęcie mojej wyprawy było połączone z powrotem jachtu „Stary”. Przekazano w moje ręce banderę jachtu, jako symboliczną sztafetę podróży, celem promowania miasta i kraju w całkiem innych, wschodnich rejonach świata.

Wyjazd był zaplanowany na dziewiątego sierpnia, natomiast jak nigdy byłem przygotowany na trzy dni wcześniej. Pozostało tylko dopracować szczegóły i czekać.

W samotnych wypadach poza granicę cywilizacji zawsze zabieram troszeczkę żywności. Co prawda rzeka i tajga latem wyżywi, jednak dobrze jest mieć tak zwany żelazny zapas.

Przeważnie zabieram liofilizowane zestawy na tydzień czasu. Resztę próbuję dokupić w miejscowych sklepikach lub w najgorszym razie wspierać się przyrodą. Trzeba wiedzieć, że ilość bagażu, jaki możemy zabrać bez konsekwencji jest zdecydowanie ograniczona. Jeśli chcemy dotrzeć samolotem w pobliże naszego szlaku, każdy dodatkowy kilogram potrafi kosztować siedem, osiem euro, nie mówiąc już o Moskwie, gdzie panują bardzo indywidualne stawki... Tam lepiej w ogóle nie mieć nadbagażu. Ja z moim 60-o kilogramowym pakunkiem, spodziewałem się różnych sensacji, dlatego też starałem się finansowo zabezpieczyć, ale wszystko i tak miało wyjść w praniu.

Kiedy wychodziłem z domu w dniu wyjazdu, nawet przez głowę mi nie przeszło że będzie to bardzo długi dzień... I to nie ze względu na różnice czasu, ale w sumie przez niekompetencje firmy, która załatwiała pewne formalności, związane z wyjazdem. Ale po kolei...

Berlin udało mi się opuścić w niezłym nastroju. A to dzięki Adrianowi-marynarzowi lejącemu na kontrakt, który użyczył mi swojej książeczki żeglarskiej. Dzięki niej nie musiałem dopłacać prawie 200 euro za dodatkowe kilogramy. (I to tylko za drogę do Moskwy) Przyznacie sami, że było się z czego cieszyć... Co prawda służba ochrony lotniska „przetrzepała” mi dokładnie misternie spakowany plecak, gdyż prześwietlenie wykazało iż mam w nim długi nóż traperski. Toporek ich nie interesował, natomiast nóż tak i przy okazji dowiedziałem się, że gdyby mój nożyk był zaostrzony z dwóch stron mógłbym mieć poważne problemy. Takowy podpada już pod broń i posiadanie go powoduje poważne kary, nawet łącznie z aresztem. (mówię oczywiście nie o bagażu osobistym, ale o torbie idącej do luku samolotu.) Znowu durny przepis, ale ja latając tyle lat nie miałem o nim pojęcia. Trzeba uważać, dlatego też piszę ku przestrodze... Zawsze byłem zdania, że w każdej wyprawie najtrudniejsze nie jest zmaganie się naturą, ale dotarcie na miejsce startu. Ludziska uwielbiają stwarzać sobie problemy. Tak co by było wesoło...

Moskwa jak to Moskwa – wielki moloch, który moim zdaniem dawno zatracił rosyjską duszę. Większość Rosjan jakich spotkałem w swoim życiu twierdziła, iż „Maskwa, eta nie Rosija”... I coś w tym jest. Wszędobylska bufonada, głupota i przeświadczenie, że durnych obcokrajowców należy „doić” Manifestowanie bogactwa i władzy, kiedy z butów wypada słoma sprawia żenujące wrażenie. Być może wszystkie stolice mają to do siebie, że przyciągają specyficzne egzemplarze. W końcu Warszawa też jest niezła...

Oczywiście moje doświadczenia z Moskwy są znikome i nie powinienem uogólniać, ale zawsze będąc w tym mieście mam jakieś kłopoty. A to obsługa bagażowa lub taksówkarze, albo celnicy i administracja lotniska- ciągle coś ... Doszło do tego, iż traktuję Moskwę jako punkt tranzytowy i oddycham z ulgą, kiedy uda mi się ją opuścić.

Na tym wyjeździe także nie obyło się bez „jaj”. Ale nawet przez głowę mi nie przeszło, że tak dostanę „popalić”. Wszystko za sprawą „kochanych pograniczników”, a w szczególności pewnego łajzy- naczelnika, któremu nie spodobała się moja wiza. Oczywiście politycznie nie jesteśmy tam mile odbierani, ale dla normalnych ludzi nie ma to żadnego znaczenia. Natomiast klienci posiadający jakakolwiek władzę, poruszają się zdecydowanie w duchu putinowskich „prikazów”. Koleś o którym mowa, zdecydowanie nie był w radosnym nastroju.. Może miał kaca, może żona zdradziła go z sąsiadem lub godzinę wcześniej jego szef wymieszał go z błotem... Może tak było, może nie. W każdym bądź razie, zdecydował odegrać się mnie i pokazać Polakowi, ile on to jednak może, no i pokazał....

Z początku stwierdzono, że moja wiza jest nieważna. Potem kazano zapłacić karę, a następnie zaprowadzono do aresztu. Byłem grzeczny i cierpliwy, ale kiedy pokazali drzwi i kazali wejść do środka, cierpliwość moja się zakończyła. Areszty ruskie mają to do siebie, iż często zapominają tam o lokatorze przez dwa, trzy dni. Właściwie zależy to od ich „widzimi się”. Dlatego, kiedy zobaczyłem, w jakim kierunku negocjacje zmierzają, zrezygnowałem ze „współpracy” i powiedziałem -iż „nie nada”, nie wsadzą mnie do środka. Za osiem godzin miałem samolot do Irkucka i cały czas głupi ludziłem się, iż się na niego załapię . Oj ja naiwny... Dwóch mundurowych, którzy

zaprowadzili mnie w „turmie”, nie wiedziało co mają ze mną począć. Delikwent zdecydowanie odmówił współpracy i dodatkowo ze swojej komórki zaczął wydzwaniać w jakieś dziwne miejsca... Faktycznie próbowałem się ratować dzwoniąc do wszystkich możliwych ambasad, konsulatów oraz do „kochanej” firmy turystycznej, która teoretycznie załatwiła mi wizę. Wszystko na nic -co prawda chłopaki nie szarpali się ze mną celem wepchnięcia do środka, ale cały czas byłem pod ich czujną kontrolą. W końcu Pani Konsul Polski w Moskwie prześwietliła sprawę i po godzinie zadzwoniła informując, iż mimo szczyrych chęci, „nie jest w stanie pomóc” Oświeciła mnie, że właściwie interpretacja zależy jedynie od naczelnika placówki granicznej i tylko z nim powinienem rozmawiać. W poprzednich latach, w czasie lepszych politycznie stosunków między naszymi krajami nie byłoby problemów, natomiast teraz jest. Dodała, iż wiele firm turystycznych załatwiających wizę rosyjską nie do końca zdaje sobie z tego sprawę i często wprowadza w błąd, narażając podróżnych na wiele kłopotów. Interpretacja wizy tranzytowej przez „pograniczników” często bywa indywidualna i jadąc teraz do Rosji trzeba mieć naprawę wszystko na tip top. Inaczej wylądaje się tak jak ja -straty finansowe, deportacja i tydzień w plecach na załatwienie nowych formalności.

Oczywiście próbowałem różnych metod na gościa, który nie darzył mnie sympatią. Począwszy na przyjaźni między Słowianami, a skończywszy na „pożyczce bezzwrotnej” w twardej zielonej walucie. Widocznie za mało (pod tym względem Moskwa jest bardzo rozbawiona), gdyż po dziewięciu godzinach zapakowano mnie pod eskortą na samolot do Monachium i na koszt Federacji Rosyjskiej wróciłem na zachód. Tam już za własne zaskórniaki nabyłem bilet do Berlina i po dwudziestu czterech godzinach siedziałem w swoim domu, mając za sobą sześć tysięcy przebytych kilometrów oraz prawie trzy tysiące złotych straty, na negocjacje przez telefon komórkowy. Ale najgorsze w tym wszystkim było załatwianie od początku dokumentów zezwalających jeszcze raz na wjazd do kraju, z którego właśnie mnie wygnano i świadomość, iż czas jaki przeznaczyłem na wyprawę kurczy się błyskawicznie. Czułem się jak lew w klatce...

### *Coraz bliżej, ale...*

Minął tydzień kiedy wysiadałem na lotnisku w Irkucku, będąc niecałe trzysta kilometrów od jeziora Chubsuguł, miejsca gdzie miała zacząć się właściwa impreza. Moim zdaniem tempo ekspresowe, zważywszy na całą biurokrację, jaką musiałem pokonać. Tutaj muszę oddzielną podziękować Panu Andrzejowi z firmy Hurtostal 2, który wsparł mnie dodatkowo w tym trudnym momencie. Wielkie dzięki mu za to, gdyż nie wiem czy udało by mi się to tak szybko powtórnie „wystartować”. Faktem jest, że determinacja moja była wielka i koniec końców nie miałem wyjścia.

Jezioro Chubsuguł znajduje się czterdzieści kilometrów od granicy z Rosją. Jest tam lokalne przejście graniczne, przez które planowałem się przedostać i piechotą dostać się na północny jego kraniec. Następnie wynająć konie i ruszyć w dół zachodnim brzegiem do ujścia rzeki Egin gol. W Ambasadzie mongolskiej w Warszawie dowiadywałem się czy przejście jest otwarte i czy przepuszczają obcokrajowca. Zapewniono mnie, że obecnie już tak, natomiast opinii tej niestety nie wziąłem na piśmie. I to był mój drugi poważny błąd. W Konsulacie mongolskim w Irkucku mieli po prostu inne zdanie.. i nawet za długo rozmawiać ze mną nie chcieli. Cóż -w sumie już trochę podróżuję po wschodzie. Nauczyłem się cierpliwości i spokoju, jaki jest potrzebny w tamtym regionie. Trzeba liczyć się z tym, że oczywiste często bywa nieoczywiste, a pewnik nie istnieje w świadomości tamtejszych ludzi. Tak po prostu jest i już...Dobrze, że mam w Irkucku koleśka Andreja, który jak na prawdziwego Sybiraka przystało traktuje tego typu problemy z przymrużeniem oka i w swoisty sposób je załatwia. Najpierw poleje pół szklanicy wódki, a później stwierdzi, że właściwie to ja tam nie muszę jechać. Mogę przecież zostać u niego-Bajkał blisko, wódkę załatwimy, a pięknych dziewczyn w okolicy „skolka godna”. Po co włączyć się bez sensu po rzekach i górach, nie wiadomo po co i dlaczego... Trzeba przyznać, że Andrej ma wrodzony dar przekonywania i często trudno nie przyznać mu racji, jednakże tym razem jego argumenty do mnie nie docierały. Byłem w głębokim dołku, obliczając ile kilometrów muszę nadrobić, aby dostać się na miejsce startu, znajdujące się ode mnie niemalże o rzut kamieniem. Wyszło tego ponad dwa tysiące kilometrów-niewesoło...Nie było wyjścia, po drugiej dawce „rozluźnienia”, jakie zaserwował mój koleśka doszedłem do wniosku, że ryzykować „półlegalne przejście” ( tzn. takie, gdzie może się udać tylko przy pomocy wsparcia finansowego) może być trudne przy obecnym pechu. Dlatego odpuściłem i zakupiłem bilety kolejowe do Ułan Bator na wieczorny rejs, a następnie chcąc do końca zlikwidować poczucie nieszczęścia i wszechogarniającej niepewności, skierowałem swoje kroki w miejsce gdzie świat wydaje się lepszy... czyli do najbliższej knajpy. Tym razem ja stawałem...

## *Mongolia...*

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Stukot kół spowodował, że wyspałem się za wszelkie czasy, ale po trzydziestu godzinach miałem dość. Jedyna rozrywka, jaka w tym czasie zaburzyła moją beczyność to kamień, który wybił kawałek naszej szyby w przedziale. Huk był niemiłosierny, ale druga część okienka wagonu wytrzymała. Ktoś z ilorazem inteligencji kozła lub bardziej prawdopodobnie nietrzeźwy (co suma sumarum wychodzi na to samo...), zabawiał się rzucając w okna pędzącego pociągu. W tym wypadku mu się udało, przyprawiając nas w środku nocy o lekki zawal serca. Konduktorka sprawdziła czy szron w przedziale nie osiada nam na uszach i następnie zbyła całe zdarzenie lekkim machnięciem ręki, twierząc- że tego typu sytuacje są na porządku dziennym. Jest to coś jak narodowy sport u młodych, pijanych Mongołów. Może nie specjalnie przypadł mi on do gustu, ale potwierdzenie, iż faktycznie znajdujemy się w Mongolii nastrajało mnie bardzo pozytywnie do świata. Powoli, pod górkę, ale zbliżałem się do mojego upragnionego miejsca startu, a po głębokim namyśle doszedłem do wniosku, że pewną ilość wyznawców tej wątpliwej dyscypliny sportowej można byłoby znaleźć także w innych krajach i to wcale nie tak dalekich...

*ciąg dalszy może kiedyś...*

*Sz.*

